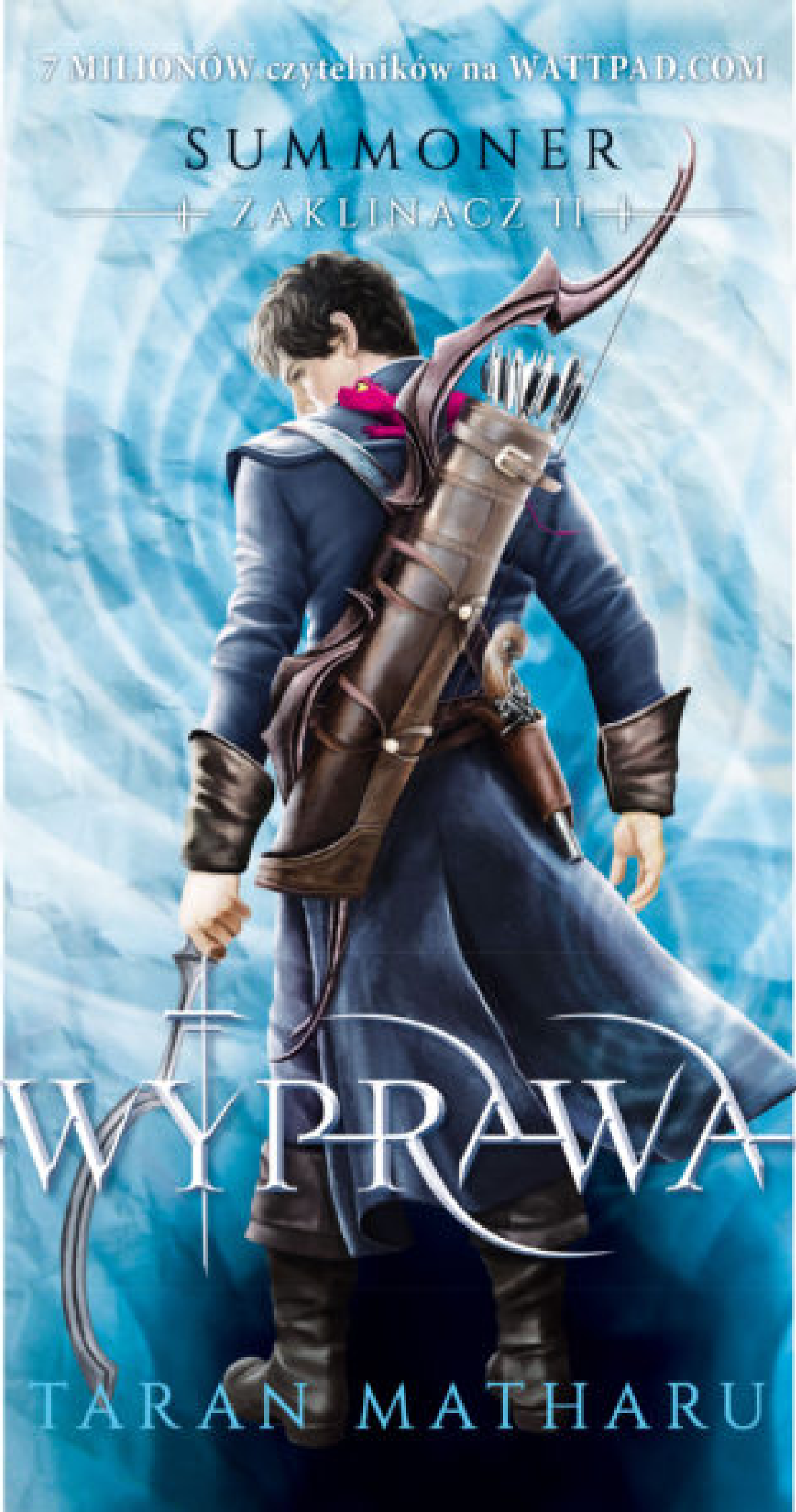


7 MILIONÓW czytelników na WATTPAD.COM

SUMMONER

— † ZAKLINACZ II † —

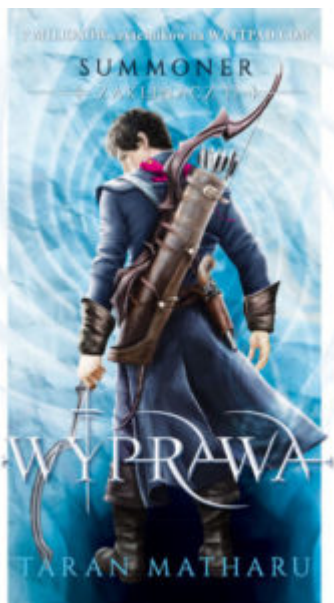


WYPRAWA

TARAN MATHARU

To nie pisarstwo. To zaledwie klepanie w klawiaturę

nimfa bagienna



Pisać każdy może. Trochę lepiej lub trochę gorzej... Maciej Tomczak recenzuje książkę Tarana Matharu „Zaklinacz 2: Wyprawa”.

W listopadzie 2013 roku dwudziestodwuletni Taran Matharu postanowił, że zostanie literatem. Korzystając z dobrodziejstwa sieci, załogował się na platformę wattpad.com (serwis społecznościowy umożliwiający publikację różnego rodzaju tekstów) i zaczął snuć opowieść o osieroconym, lecz utalentowanym magicznie chłopcu Fletcherze. Fabuła przypadła użytkownikom do gustu (według podawanych statystyk, były ich miliony), co przełożyło się na zainteresowanie wydawnictw papierowych. W ten sposób najpierw „Zaklinacz: Początek”, a teraz „Zaklinacz 2: Wyprawa” trafiły do rąk czytelników na niemal całym świecie.

Od wydarzeń opisanych w pierwszym tomie minął rok. Główny bohater, teraz już siedemnastoletni, spędził ten czas samotnie w celi, oczekując na proces. Kiedy dochodzi do rozpatrzenia sprawy, Fletcher poznaje swoje pochodzenie i wiążące się z nim dziedzictwo. Obarczony świadomością dramatycznej przeszłości oraz obowiązkami wynikającymi z członkostwa w Radzie Królewskiej, a także mierząc się nieustannie z intrygami szlacheckich rodów, wraz z przyjaciółmi – krasnoludem Othello i elfką Sylwią oraz nowymi postaciami, krasnoludką Cress i przewodnikiem Jeffreyem – i innymi absolwentami Akademii Vocanów wyrusza na tytułową wyprawę w głąb terenów złowrogich orków. Od powodzenia na poły samobójczej misji, powierzonej mu przez króla Hominum, będzie zależeć dalszy los przymierza trzech ras.

Niemal każdy twórca – niezależnie od rodzaju materii, jaką się para – stara się, by kolejne dzieło było choćby minimalnie lepsze od poprzedniego. Czyni tak zarówno dla swoich zwolenników, jak i przede wszystkim dla własnej satysfakcji. Takie postępowanie odróżnia zwykłych wyrobników, nastawionych na poklask gawiedzi czy materialny zysk, od rzeczywiście utalentowanych artystów. Taran Matharu zalicza się do tych pierwszych. Można nawet odnieść wrażenie, że po cieszącym się popularnością wtórnym, lecz względnie akceptowalnym tomie, stracił zapał do pracy nad swoimi literackimi (teraz już wątpliwymi) umiejętnościami.

Bowiem drugi tom „Zaklinacza” razi już nie tyle prostotą, co prostactwem, i zupełnym brakiem

przywiązania do wiarygodności, nie wspominając o logice. Faktem jest, że seria ma charakter młodzieżowo-przygodowy. Zatem należy zachować pewną dozę tolerancji dla występujących skrótów myślowych czy nie do końca prawdopodobnych rozwiązań. Autor przekracza jednak granicę wszelkiej naiwności, najwyraźniej za nic mając szacunek dla intelektu swoich odbiorców.

Fletcher, zamknięty w niewielkiej celi i karmiony raz na dzień, spędza w odosobnieniu dwanaście miesięcy, mając za towarzysza wyłącznie demona oraz dwa podręczniki. Pomijając dość dziwą kwestię, jaką jest nieodebranie mu groźnego magicznego stworzenia, należy zauważyć, że przymusowa izolacja nie wywarła nawet najmniejszego wpływu na jego kondycję fizyczną czy stan psychiczny; wygląd załatwia niewielka toaleta. Natomiast więzienie musiało przyczynić się do wzrostu poziomu empatii, dobroci i mądrości Fletchera, ponieważ na kolejnych stronach opowieści wielokrotnie wykazuje się powyższymi atrybutami. W żadnym wypadku nie służy to postaci, która staje się jeszcze bardziej mdła i pozbawiona głębi.

Rys realności bohatera miało chyba zapewnić robienie maślanych oczu niemal do każdej pojawiającej się dziewczyny; zresztą z wzajemnością. Te wielce irracjonalne zabiegi przekładają się na równie irytującą jednowymiarowość pozostałych osób występujących na kartach powieści; zarówno znanych z „Zaklinacza: Początku”, jak i pojawiających się po raz pierwszy; tak jak na przykład wyzwolona krasnoludka Cress czy uciemieżony przez despotycznego ojca król Hominum Harold. Szczytem niekompetencji autora okazuje się dialektyzacja wypowiedzi jednego z żołnierzy, mająca świadczyć o jego pochodzeniu z gminu. Trudno powiedzieć, czy wzbudza to większe zażenowanie, czy politowanie. Tak samo, jak ciężko jest rozstrzygnąć, dlaczego pisarz wpadł na taki pomysł dopiero w jednej trzeciej drugiego tomu i czemu żaden inny bohater wywodzący się z niższych sfer (z Fletcherem na czele) nie posługuje się analogicznymi naleciałościami.

Istniała oczywiście szansa, że bezbarwne postacie służyły do poprowadzenia wyjątkowo niesamowitej, porywającej i intrygującej opowieści. W pierwszej części „Zaklinacza” miało się wrażenie, że Taran Matharu w mniejszym bądź większym stopniu szedł za przykładem J. K. Rowling i jej serii o Harrym Potterze. W drugim tomie autor wykazuje się zdecydowanie większą ambicją, ponieważ tym razem za wzór obrał sobie J. R. R. Tolkiena i „Władcę pierścieni” oraz Terry’ego Pratchetta i „Niuch”. Matharu podpira się Tolkienem w momencie obrad Rady Królewskiej i formowania drużyny. Z kolei od Pratchetta pisarz zaczerpnął koncepcję niepozornych goblinów, niedocenianych przez wszystkie pozostałe rasy, oraz emancypacji krasnoludzkich kobiet. Obaj pisarze, widząc poczynania swojego naśladowcy, muszą przewracać się w grobach.

W fabułę „Zaklinacza 2: Wyprawy” Matharu wplata więcej wątków politycznych i quasispołecznych, mających wywołać złudzenie, że książka nie jest wyłącznie opowieścią awanturniczą. O ile elementy relacji między ludźmi, elfami i krasnoludami, oraz ładu panującego w monarchii, były poruszane i w pierwszej części, o tyle w drugiej odgrywają większą rolę. Podobnie jak zagadnienie równouprawnienia czy zrozumienia dla innych, obcych kultur. Ale w żadnym razie nie łąta to narracyjnych luk.

Najgorzej wypada przewodni koncept opowieści. Nie dość, że misję istotną dla toczącej się wojny mają wykonać oddziały składające się w większości z młodych i niedoświadczonych w walce żołnierzy, to jeszcze okazuje się, że są oni zupełnie nieprzygotowani do wykonania zadania. Nie tylko dopiero po wysłaniu na miejsce planują szczegółowo strategię, ale też dopiero wtedy wymieniają się uwagami, jak poruszać się i przetrwać w dżungli. Edukacja jest isticie fantastycznie ekspresowa – trwa zaledwie kilka godzin.

Do nijakich postaci i miałkiej fabuły dochodzą jeszcze wątpliwe opisy i porównania – na przykład sok leci z pnączy niczym woda z kranu (wcześniej nie pojawiały się odniesienia do zaawansowanej hydrauliki), na spalonym do kości ciele orka widać wyraźnie tatuaże i najwyraźniej nietkniętą ogniem

opaskę, a niemal wszystkie podziemne jaskinie i sale porównywane są do kolejnych pomieszczeń Akademii Vocanów.

Przy tym wszystkim akcja „Zaklinacza 2: Wyprawy” bez opamiętania gna po wyjątkowo stromym górskim stoku na złamanie karku. Język Matharu pozbawiony jest finezji, ale nie nastrocza problemów przy lekturze, a krótkie rozdziały zapewniają utrzymanie napięcia na odpowiednio wysokim poziomie i liczne zwroty akcji. Problem polega na tym, że na pierwszym skalnym występie – już w okolicach sto dwudziestej strony – „fabuła” przewraca się i rzeczywiście łamie sobie kark. Potem po prostu bezwładnie leci dalej, niesiona siłą przyciągania ziemskiego, odbijając się od kolejnych nierówności leżących na ścieżce.

A prawdziwym dramatem jest, że tak wiele osób daje się porwać temu absurdowi, czego smutnym dowodem są entuzjastyczne recenzje na różnych portalach internetowych. Sprowokowany Taran Matharu, wierząc w czuwającą nad nim szczęśliwą gwiazdę, nie przestaje pisać; kiedy zamknął trylogię „Zaklinacza”, zabrał się do tworzenia *prequeli* i *spin-offów*. Strach pomyśleć, co jeszcze może przygotować.

Tytuł recenzji jest parafrazą wypowiedzi Trumana Capote’a

Maciej Tomczak

Autor: Taran Matharu

Tytuł: „Zaklinacz 2: Wyprawa”

Tłumacz: Grzegorz Komerski

Wydawca: Jaguar 2016

Liczba stron: 428

Cena: 39,90 zł